Nr. 17. Warszawa, d. 1 Września 1907 r. R. IX.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) września na klepy, łanie i kozy.

Lunacya we wrześniu.

Nów d. 7 o g. 10 m. 38 w.
Pierw. kw. d. 15 o g. 5 m. 14 r.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	12	6	46
2	5	14	6	43
3	5	16	6	41
4	5	18	6	40
5	5	20	6	38
6	5	22	6	36
7	5	24	6	34
8	5	26	6	31
9	5	28	6	29
10	5	30	6	27
11	5	31	6	25
12	5	32	6	23
13	5	33	6	20
14	5	34	6	18
15	5	35	6	15



ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 203.

Nr. 17. | Warszawa, d. 1 września 1907 r. | Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

V-ta Warszawska Wystawa psów.



„NIMROD“ (m. złoty W. T. P. M. i m. srebrny Petersb. Tw. Miłośn. psów ras.) i **„DIANA“** (m. srebrny W. T. P. M.) — owczarki belgijskie p. A. H. Biczard'a. **„PUK“** (m. złoty) i **„KULA“** (m. złoty) — jamniki p. Dall'Trozzo.

POLOWANIE NA KSZYKI

W GÓRNEJ BIRMANII.

W całej Europie, a zatem i u nas ilość kszyków stopniowo się zmniejsza, co przypisać w części należy osuszaniu błot, wskutek czego szlaki przelotów błotnego ptactwa uległy znacznym zmianom i coraz więcej ku wschodowi się przesuwają. W tem zmniejszeniu się ilości kszyków w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu widać już znaczną zmianę, i dziś nawet osławione niegdyś błota Pińskie nie są w takich masach, jak dawniej, przez te ptaki nawiedzane, a cóż dopiero mówić o naszych błotach w obrębie Królestwa Polskiego. Dla prawdziwych amatorów tego rodzaju polowania strata to wielka, bo kszyk dostarczał myśliwym nieskończonych uciech, a lot jego bystry i nierówny sprawia, że strzały do niego do łatwych nie należą, czem tylko pobudzała się chętka zdobycia tych ptaków. Z niemałą też zazdrością czytamy nieraz relacye, że w krajach egzotycznych istnieją jeszcze dzisiaj wspaniałe polowania na kszyki, polowania, na których jeden myśliwy bije setkami bystre długodzioby. Między innymi wspaniałymi terenami kszyczymi odznacza się Birmania, w południowej Azyi położona. Świeżo podało jedno z pism łowieckich angielskich opowiadanie pewnego myśliwego, kryjącego się pod pseudonimem „Paddy", według którego w Birmanii dobry strzelec podczas sezonu może zabić w ciągu dnia sto par,—znaczy się 200 kszyków. Opis takiego polowania podajemy w streszczeniu, będąc przekonani, że może zainteresować niejednego z naszych czytelkików.

W żadnym kraju -mówi „Paddy" — niemasz terenów, któreby więcej przypadały do gustu kszykom, jak pola *paddy*, czyli ryżu, które zalegają liczne doliny rzek, spuszczających się równolegle do siebie od północy ku południowi, aż do samego morza.

Te pola ryżowe różnią się bardzo swą rozległością, stosownie do okolicy. Młody ryż rośnie doskonale na ziemiach wilgotnych, a nawet błotnistych; podobny on jest wtedy do grubej i niezbyt gęstej trawy. Większość tych pól jest otoczona niewysokiemi groblami, które pozwalają nawadniać je dowolnie. Gdy ryż podrośnie, możnaby go wziąć za łany zwykłej pszenicy.

Spotyka się tam trzy, a właściwie cztery gatunki bekasów, a mianowicie: dwie odmiany kszyka, t. j. kszyk zwyczajny *(Gallinago scolopacina)* i kszyk ostropióry *(Gallinago stenura)*, dalej bekasik czyli fiċlauz *(Limnocryptes gallinula)* i wreszcie rodzaj dubelta azyatyckiego *(Gallinago solitaria)*, który z czterech gatunków jest najrzadszym. Nadmienić też wypada, że wszystkie te gatunki w lecie spotykają się w Syberyi. Najpospoliciej spotyka się tam oba gatunki kszyków.

Gdy się słyszy o tych strasznych rzeziach kszyków, w pierwszej chwili przychodzi nam ochota zapytać się, czy ptaki te latają tam równie szybko, jak w Europie. Odpowiedź na to brzmi: „tak, ale tylko rano i pod wieczór; nigdy zaś, gdy słońce stoi wysoko". Mimo to, w tej porze dnia strzela ich się mniej, aniżeli rankiem i ku zachodowi słońca, raz dlatego, że ptaki zrywają się niechętnie, a powtóre, że podczas upalnych godzin dnia myśliwy nuży się bardzo od gorąca i zwykle strzela gorzej. Ażeby polować w ciągu dnia, myśliwy musi odpoczywać przynajmniej co pół godziny.

W Górnej Birmanii, t. j. w obwodzie Mandalay i sąsiednich, kszyki nalatują w początkach września i pozostają do stycznia: przypuszczalnie emigrują one z Azyi północnej. Gdy się tylko rozejdzie wiadomość o początku nalotu, widać licznych sportsmenów, udających się na pola ryżowe, w czwartki i niedziele.

O pół godziny drogi od Mandalay spotyka się pola ryżowe w wielkiej obfitości. Miejscowy wehikuł, zwany „ticca gary" zawozi *sahib'a* (czyli pana), którego służący postarał się umieścić uprzednio w pojeździe broń, ładunki, kijek do dobijania ptaków, koszyk z prowizyą i ubranie na zmianę, niezbędne po całodziennem polowaniu na błotach w krainie, gdzie febra, dżuma i inne choroby są tak pospolite. Przybywszy na miejsce, trzeba sobie zaangażować dwóch młodych tubylców, z których jeden nosi ładunki, a drugi — kijek.

Nie od rzeczy będzie wspomniec tutaj o krajowcach, którzy, na ogół, są zapalonymi zwolennikami myśliwskiego sportu i doskonałymi ludźmi. Młodzi od znużenia, z fajką w ustach i ze strzelbą na flintpasie, rozpoczynają opowiadania z wypadków dnia ubiegłego.

Pan Capdebosq otwiera polowanie.

Przez

Henryka de Bruchard'a.

(Z francuskiego).

Jakże dalekie są już te wspomnienia z Algieru i te czasy szczęśliwe, kiedy to całymi tuzinami dodawaliśmy sztuki podczas wspaniałych rozkładów! Czytania liryczne i tryumfalne sprawozdania wielkich dzienników! Biedni są ci ludzie północy ze swemi szarlatańskiemi kronikami myśliwskiemi, ze swemi królewskiemi polowaniami i ze swymi strzałami niebywałymi. Niewątpliwie i oni kłamią i pewnie dlatego, że podobni do tych bohaterów Daudet'a z *Port-Tarascon*, którzy niedowierzają i „boją się słońca", bo sami łżą na potęgę, że dziś nikt na nich nie zwraca uwagi. Lecz ta nasza poczciwa blaga francuska, ten nasz gallikanizm narodowy pojawia się ciągle, odradza się co roku malowniczy i śmiały, nazajutrz po dniu spędzonym na świeżem powietrzu, na tem czystem, wiejskiem powietrzu, po obfitym posiłku i jeszcze obfitszem piciu, w chwili powrotu przy zapadającym zmierzchu, gdy psy szybko dyszą i zatrzymują się na zakrętach drogi i gdy myśliwi, z plecami zgiętymi od znużenia, z fajką w ustach i ze strzelbą na flintpasie, rozpoczynają opowiadania z wypadków dnia ubiegłego.

Niewątpliwie, kronikarz, który podsłuchuje i zbiera notatki do swego dziennika, musi być z południa, z tego najlepszego południa, gdzie to każdy widzi potrójnie!

To też, moi panowie, dlatego mamy takie bajeczne rozkłady!

Ah! moi bracia myśliwi, czy mógłby wam czego lepszego życzyć, jak poznać Croquant'a, mego kuzyna Croquanta, z jego psem Tikiem, najlepszym w całej okolicy, ułożonym przez niego samego; albo jego rywala i kuma, Capdebosq'a, tego nemroda tuluzyjskiego, który nie ma sobie równego w całej uroczej i gościnnej krainie Armanda Silvestre'a, gdzie się jada melony z Lautrec, pasztety z Tivollier, popijając je doskonałem winem z Villaudrec, równie dobrem, jak papieski Chateauneuf od naszego przyjaciela, Feliksa L. B., który wam polecam!

Wiecie, jak ja go poznałem, tego Capdebosqu'a?

Był to cudowny wieczór w końcu sierpnia! Całe przedpołudnie polowaliśmy na twardym, grudowatym gruncie, w promieniach ognistego słońca. Na płaskowzgórzu, wznoszącem się nad Pibrac, od samego rana, a raczej od samego świtu, rozlegała się piekielna kanonada, która nas z łóżek pospędzała. Uganiano się wściekle za temi kilkoma kuropatwami,

dy Birmańczyk będzie nosił ładunki od rana do wieczora i nie zażąda nigdy więcej, jak cztery *annas*, co wynosi około 15 kop. Od Hindusów różnią się swym wesołym i łagodnym charakterem. Oto między innymi przykład: pewnego razu „Paddy“, polując, przyszedł na brzeg głębokiego strumienia, po którego przeciwnej stronie znajdowało się pole ryżowe, jeszcze przez niego nie opolowane. W owej chwili nadpłynęła właśnie łódką młoda Birmanka, zbierająca trzcinę. Zawołał na nią i gestami dał do zrozumienia, żeby go przewiozła na drugą stronę, na co zgodziła się chętnie. Przybywszy jednak na przeciwny brzeg i wyskakując na ląd, myśliwy przewrócił łódkę i młoda dziewczyna wpadła do wody, która miała w tem miejscu 10 stóp głębokości. Na szczęście pływała ona doskonale, więc z łatwością dostała się do brzegu, holując swe czółno. Nie otrząsnąwszy nawet ubrania z wody, wskoczyła do łódki, posłała myśliwemu ręką pocałunek, i oddaliła się, wiosłując i uśmiechając się, zanim miał czas jej podziękować.

Dzięki temu doskonałemu charakterowi i swym skłonnościom myśliwskim Birmańczycy utrzymują tak doskonałe stosunki z Anglikami, czego nie można bynajmniej powiedzieć o Hindusach.

Młodzi krajowcy nietylko służą do noszenia ładunków, lecz spełniają nadto rolę psów-aporterów, gdyż nic nie ujdzie ich bystrego wzroku i rzadko kiedy ptak zginie.

Nasz myśliwy, przybywszy do Birmanii, chciał używać psa do polowania, ale wkrótce przekonał się o prawdziwości starego przysłowia: „Wejdziesz między wrony, krakaj, jak i ony“. I w samej rzeczy, żadna z ras naszych psów nie wytrzymuje tamtejszego klimatu: psy nikną i zdychają. Co do strzelby, to im lżejsza, tem lepsza.

Strzał do kszyka jest słusznie uważany za bardzo trudny. W Europie zachodniej ptak ten jest zbyt rzadki, aby sportsmeni mogli się dostatecznie doń wprawić; inaczej rzeczy się mają w Birmanii. Wszędzie zresztą znajdą się ludzie, którzy starają się dać nam dobre rady, lecz w praktyce rady te nie na wiele się przydadzą, gdyż po większej części kszyk nie daje czasu, aby te rady można stosować. Jeżeli strzelba jest *składna* - to jest wszystko, czego można wymagać, a reszta przychodzi z wprawą. Niema wątpliwości, że mało myśliwych posiada strzelby składne dla siebie i że to jest główną przyczyną, zarówno w Birmanii, jak i w Europie, dlaczego jest tylu miernych strzelców.

Najlepszym strzelcem, jakiego znał „Paddy“, był pewien porucznik jednego z pułków, konsystujących w Birmanii. Zabił on przy nim 80 kszyków, wystrzeliwszy 120 razy, i ten, według zdania naszego myśliwego, napewno nigdy nie mierzył w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

J. S.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Maggaï.

Przez

Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

Moje pierwsze polowanie. — Pożar stepu. — Nocleg. — Wizyta Amerykanów. — P. Lucas.

Pierwszy brzask wschodzącego słońca zastał mnie już gotowym do drogi.

Skrzynki z bagażami i zapasami żywności, których narazie, z powodu braku dostatecznej ilości ludzi, nie mogę z sobą zabrać, zostawiam na dworcu kolei pod opieką „babou“, czyli zawiadowcy, i pożegnawszy się z zacnym tym jegomością, na czele mych dwunastu „pagaridz“ wyruszam w drogę.

Ścieżkę, którą idziemy, otacza wysoka trawa, mokra jeszcze od nocnej rosy. Poranek cudowny, niebo bez chmurki. Postępujemy raźno i wesoło, by jaknajwięcej odbyć drogi, zanim nastąpi upał.

W pół godziny dochodzimy do Stony Athy, której brzegi całe porośnięte lasem akacyowym. Nie-

---

kryjącemi się z trudem po pięknych winnicach, lub nędznych krzakach. Całe miasto wyległo do tego kawałka ziemi! Nie bez strachu też w wilię tego dnia widziałem na stacyi w Tuluzie pociągi przepełnione hałaśliwymi pasażerami w getrach, z psami, z torbami, uzbrojonymi od stóp do głów i prowadzącymi za sobą przedstawicieli wszelkich ras psiego rodu. Był tam i brytan z pod rogatek, i pies uczony, Munito, kundle wszelkich kolorów i uwłosień, kilka marnych bassetów, dwa lub trzy piękne okazy wyżłów z Ariege lub owernerńskich, a przy tem wszystkiem cała psiarnia, którą cyganie z przedmieścia Ś-go Cypryana prowadzą ze sobą i sprzedają po sześć franków sztuka na werendach kawiarni przy ulicy Lafayette'a lub pod Kapitolem.

Ślady tej psiej inwazyi można było spotkać wszędzie, nawet na stopniach pomnika Riquet'a! Wszystko to nazajutrz rano, o godzinie czwartej, kiedy blady brzask przezierał ledwie przez okoliczne topole, ryczało — i psy, i panowie — ku przerażeniu miejscowej zwierzyny.

W wilię tego dnia zwrócił szczególnie moją uwagę w przedziale, przezemnie zajmowanym, pewien myśliwy, którego ładownica i silnie wypakowana torba z zapasowymi ładunkami wzbudzały we mnie zupełne zaufanie co do całości okolicznej zwierzyny. Zachwyciło mnie też mistrzostwo, z jakiem, przy pomocy paru kopnięć, przyprowadził do porządku swego psa — dość ordynarnego epagneul'a.

— Zawsze łagodnością! he! — dodał zresztą natychmiast nasz towarzysz podróży.

Nie wiedziałem wtedy, że mam przed sobą p. Capdebosq'a, słynnego na całą okolicę ze swych bajecznych rezultatów na polowaniach. Miałem go poznać dopiero nazajutrz.

Pod wieczór zatrzymaliśmy się dla odpoczynku, mając przed sobą jeden z najwspanialszych widoków, jaki można spotkać na świecie. Przed nami ciągnął się falisty łańcuch wzgórz Gers'u z lasami i winnicami, ze ścierniskami pięknego, różowego koloru, który nikł już pod gazą wieczornych oparów. U stóp naszych dolina, pogrążona już w cieniu, mokre łąki, które się ciągną aż do Isle en Jourdain; z małej rzeczki wznosiły się fioletowe opary, a na pobliskiem wzgórzu wielki, tragiczny wiatrak rozczapierzał w purpurze wieczornego nieba swe potężne i straszne skrzydła.

— Cóż, czy dobry mieliście panowie dzień otwarcia polowania?

W ten sposób nasz wczorajszy towarzysz wyrwał nas z zadumy.

Wyliczyliśmy starannie te kilka sztuk zwierzyny, które zabiliśmy wszyscy razem. Było tego niewiele, bo przepiórki w tym roku zawiodły.

— A pan, panie Capdebosq?

— Trzydzieści kuropatw, sześć kotów, dziewiętnaście przepiórek — niema ich w tym roku, — 5 cyranek dziewięć królików!!!

które z tych drzew pokryte żółtem kwieciem o ślicznym zapachu.

Rzeka prawie że wyschnięta, gdzieniegdzie tylko z małych jeziorek, które się wśród złomów kamiennych potworzyły, sączy się troszkę wody. Z za brzegów jednakże i głazów, leżących w łożysku, znać, iż w porze deszczowej rzeka ta przybiera potężnie. Przeprawiamy się na drugi brzeg. Idąc na czele swej maleńkiej karawany, widzę w oddali, w odległości niespełna wiorsty, całe stada antylop i zebr, pasących się spokojnie.

Ochota bierze spróbować polowania, lecz zwalcza ją uczucie, którego doznaje nieomal każdy podróżnik, dążący do nieznanych mu krain, t. j. byle dalej i dalej posuwać się jaknajszybciej.

Czas w pochodzie biegnie szybko, i niebawem też słońce prosto z zenitu zaczęło sypać żarem swych promieni. Dalsza droga stawała się uciążliwą, a widząc ładną polankę, otoczoną ze wszech stron cienistemi drzewami, postanowiłem zaniechać dalszego na dzisiaj marszu i rozbić tam obóz.

Oddaleni jesteśmy od kolei żelaznej o niespełna 15 wiorst. Namioty wkrótce, pod komendą Hamisa, zostały rozstawione na miejscu przezemnie wybranem, ludzie wysłani po wodę i drzewo.

Po godzinnym wypoczynku, zabrawszy swych dwóch strzelców Massai, wyruszam spróbować polowania.

Zdala widnieją całe stada gazelli Granta i Thomsona, „Kongon“ i zebr.

Pod osłoną drzew, idąc pod wiatr, podchodzę na 150 metrów całe stado „Kongoni“, z którego udało mi się zastrzelić ładną bardzo sztukę, wielkości naszego jelenia. W pół godziny potem zeszedłem kilkanaście ślicznych gazelli Thomsona. Dwa kozły o dobrych rogach stały tuż obok siebie na uboczu, przyglądając mi się ciekawie. Padły od jednej kuli. Następnie kilka razy doszedłem jeszcze do strzału, wprawdzie na dalszą odległość, lecz nic więcej, niestety, nie udało mi się upolować.

Ludzie moi, zwabieni strzałami, przybyli, by zabrać zabitą zwierzynę, a ponieważ słońce miało się już ku zachodowi, w powrotną do obozu ruszyliśmy drogę.

Niebawem też, z iście tropikalną szybkością zapadła noc, noc cudowna, — tysiące gwiazd, jak złotych gwoździ, pokryło firmament.

O kilka kroków od namiotu palą się ognie, przy których ludzie moi pieką na cienkich kawałkach drzewa mięso dziś upolowanych antylop. Czarne sylwetki murzynów w świetle ognisk dziwne sprawiają wrażenie. Rzeka odzywa się tysiącami głosów ptasich, wśród których i wiele naszych europejskich gatunków spędza tu zimowe miesiące.

Noc przeszła spokojnie. Pod namiotem śpi się po królewsku. Już o świcie kazałem zbierać się do drogi. Ognie, które całą noc się paliły, podniecono nowymi kawałami gałęzi. Naprędce spożyłem przygotowane przez Tomma śniadanie, składające się z polewki z czerwonego wina i biszkoptów.

Gdy pod nadzorem Hamisa składano i zbierano obóz, nie dalej, jak o 300 metrów, spostrzegłem dwie gazelle Thomsona, przyglądające się nam ciekawie. Podszedłszy kilkadziesiąt kroków, dałem strzał z mego ośmio-milimetrowego karabinka, i trafiony w samą głowę śliczny kozioł, został na miejscu.

Sprawa poćwiartowania i zabrania najlepszych części mięsa, oraz rogów, zajęła nam około pół godziny. Dziesiątki sępów i marabutów porozsiadało się na najbliższych drzewach, nie mogąc doczekać się naszego wymarszu, by z resztek, które po nas zostaną, urządzić sobie ucztę.

Słońce dobrze już się podniosło, gdyśmy nareszcie rozpoczęli dalszy pochód. Upał z godziny na godzinę stawał się coraz większy i karawana ma, idąc „gęsiego“, wkrótce też rozciągnęła się na znacznej przestrzeni. Trzeba było zatrzymać się i czekać. Postępujemy wciąż w niewielkiem oddaleniu od rzeki, po za którą widnieje pasmo niezbyt wysokich gór, z których najwyższy szczyt zwie się Lukania. Rzeka wije się śród stepów, które, jak okiem sięgnąć, pokrywa pożółkła trawa, miejscami na dużych przestrzeniach spalona.

Ciężki to pochód wśród słońca podzwrotnikowego, po czarnym tym popiele. Kurz gryzie w oczy i zatyka płuca.

Wyprzedziwszy swą karawanę, doszedłem do rzeki, która w tem miejscu tworzyła jeziorko, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegłem ogromnego hipopotama. Zmierzyłem do niego, lecz w tej samej chwili potężne cielsko skryło się pod wodą.

Wchodzimy wreszcie w trawy, sięgające niekiedy do pasa, i mimo ścieżek wydeptanych przez zwierzynę, pochód staje się bardzo uciążliwym. Setki antylop i zebr na odległość około kilometra, spo-

---

Byłem trochę zdziwiony, lecz pan Capdebosq, miarkując moje niedowierzanie, zwrócił się do mnie i dodał z jaknajmilszym uśmiechem, jakgdyby tłómacząc się, że musi dać mi lekcyę:

— Inaczej nie byłoby warto przyjeżdżać!

Schyliłem głowy:

— Bez wątpienia.

A p. Capdebosq, niezmieszany dodał:

— Czyż nie prawda?

Puściliśmy się drogą ku Escalette, gdzie moi gospodarze mieli siedzibę. P. Capdebosq wyciągał kroki, a ja tymczasem miałem przyjemność wysłuchania różnych śmiałych uwag. Co za godna podziwu ufność w łatwowierność swego bliźniego! Szlachetna iluzya, pewność i śmiałość nieporównana myśliwych mojej pięknej Gaskonii! Ah, wieleż to ja widziałem zabitej zwierzyny w tych opowiadaniach Capdebosq'a! Co za strzały! Co za rozkłady!

— Wiele przepiórek zabiłeś, Capdebosq, w roku zeszłym? — zapytał Croquant.

— Dwa tysiące!

— Eh! dajże pokój!

Lecz skromnie, z pewnym odcieniem obojętności dodał:

— No, to dajmy na to, dwa tysiące pięćset i nie mówmy o tem!

Był tam cały szereg dni heroicznych, niebywałych strzałów; dowiedziałem się, jakie nazwy miały psy nieporównane — zawsze układane przez niego samego! Następnie wyliczył mi całą seryę przepisów kuchennych, a wreszcie wymienił mi masę nieomylnych sposobów strzelania bez pudła.

— Podobno miałeś pan w roku zeszłym nadzwyczajny dzień na słonki. Wieleś pan zabił w to jedno przedpołudnie?

— Ośmdziesiąt!

Tego już było za wiele. Stanąłem.

— Nie bierz pan za złe mej niedyskrecyi, ale chciałbym wiedzieć, wieleś pan wziął ze sobą ładunków, wyjeżdżając na polowanie?

Tem niespodziewanem pytaniem chciałem zbić z tropu mego towarzysza w jego potoku pochwałek. Była to z mej strony naiwność, a raczej nieznajomość potężnych zalet mojej rasy i tego niewzruszonego spokoju w bladze. Capdebosq z największym spokojem daje swemu psu kopnięcie — „zawsze łagodnością, hę!“ i od niechcenia mówi:

— Tyle, co biorą wszyscy, około dwudziestu!

strzegłszy nas, umyka i zdaleka przygląda się z widoczną ciekawością.

Około południa rozbijam obóz w małym lasku akacyowym, który spotykamy po drodze.

(C. d n.).

Z życia wilków karpackich.

Skreślił

JAN MARCINKÓW

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Chwila ta trwała około kwadransa, pieski tymczasem wróciły, a że owe trzy wilki już nie ruszały z miejsca, a reszta znikła mi z oczu, byłem w kolizyi, co z tym fantem zrobić, tembardziej, że zaczęło się nieco zmierzchać.

Zaaplikowałem tedy powtórną dozę wycia, aby wilki prędzej zwabić;—i rzeczywiście, po powtórnem wyciu, owe trzy wilki, które ciągle obserwowałem, zaczęły znowu ku nam biedz, tym razem jednak wilki już się połapały, że coś jest podejrzanego, zawróciły nazad w górę, posiadały może o jakie 800 kroków od nas na śniegu i już więcej, pomimo wycia, nie chciały wrócić. A że już zmrok zapadł, i nie będąc pewnym, gdzie reszta wilków obraca się, zmuszony byłem wracać do domu, ażeby jeszcze za światła wieczornego wydostać się z lasu na drogę.

Tak więc, nie udała mi się sztuka dostania wilków, przekonałem się chyba tylko, że nie 50, tylko 10 wilków wyło. Nocą powtórzyła się ta orkiestra jeszcze kilka razy, a rozdarłszy łanię, dla posilenia zmęczonych organów, wyniosły się w inne strony.

Pomimo swej żarłoczności i zuchwałości, jest wilk karpacki, wobec człowieka, wielkim tchórzem, a po dobrem nażarciu się, nie bardzo daleko odchodzi od swego łupu na wypoczynek, czyli drzemkę poobiednią.

Pewnego razu, gdy rozdarły niedaleko od mego mieszkania łanię, podążyłem za ich tropem i po 2-godzinnym pochodzie zastałem je skulone w śniegu, jak pieski, każdego osobno, a gdy zbliżyłem się do nich, w oka mgnieniu, jak błyskawica, rozskoczyły się tak, że, nim zdołałem zerwać strzelbę z ramienia i kurki odciągnąć, nie było już do czego strzelać. Również, gdy wilki sobie co upolują i zostaną spłoszone przy łupie, a mięso zabrane — (jak razu pewnego to u mnie miało miejsce) — okazują w najwyższym stopniu swoje oburzenie i niezadowolenie przez wściekłe wycie, powtarzane nieraz przez całą noc. Tak samo, gdy co upolują, nawołują się „członkowie" polowania wyciem przeciągłem, a tak tubalnem, że słychać je na kilkanaście kilometrów.

Gdy wilkom sprzykrzy się jelenina, to wymaszerowują w inne rewiry, gdzie znajdują sarny i zające.

Wyśledziwszy raz dwa wilki, całkiem świeże, nad ranem, niedaleko domu, podążyłem za nimi w nadziei, że napotkam je niedaleko w legowisku,— i rzeczywiście, po 10-godzinnym marszu prawie w metrowych śniegach, napotkałem je, ale, niestety, nie wytrzymały i wyskoczyły na chwilę przed przybyciem. Po drodze skonstatowałem, że zżarły 3 zające. Podziwiałem ich strategiczny zmysł i nadzwyczajny węch.

Szły np. grzbiecikiem; nareszcie ściąga jeden zająca na odległość przeszło 200 kroków, dokąd zdąża w susach i wyciąga biednego szaraka z pod kłody, zasypanego śniegiem, skąd w nocy wcale nie ruszał; połyka go tak, że prawie żadnej farby nie pozostawia, chyba gdzieś kawałeczek turzycy, kosmyka kawałeczek, lub pazurek ze skoku.

W taki sposób na ranną przekąskę skonsumowały dwa wilki trzy zajączki, i to naturalnie takie, które przez noc nie ruszały, gdyż śnieg padał.

Z pozostałej czeredy 10 wilków, struły się na ochłapach 3, a jeden utopił się, kiedy lody ruszyły, pozostało więc 6 doborowych egzemplarzy.

Pewnego poranku, około godz. 7 ej, przybiegają dwaj strażnicy leśni, M. i Ch., zdyszani, ze strzelbami, meldując, że tuż nad naszymi domami, na szczycie, wyje cała banda wilków w straszliwy sposób.

Chciwy strzału na tego najpotężniejszego łotra naszej fauny drapieżnej, porwałem strzelbę, i nie oglądając się na to, że śniadanie niegotowe i że w torbie niema nic, prócz patronów, podążyłem szybko w kierunku mi wskazanym.

Niestety, dopiero po godzinnym marszu spotkałem się z ich tropami, które grzbietem góry zaprowadziły mnie około 12 godziny na czczo aż pod połoninę „Szczowne", skąd posunęły już w ubocz, jakby na legowisko. Zmęczony ciężkim marszem w dość dużych śniegach, a zarazem i głodem, postanowiłem otropić połoninę. Gdy się przekonałem, że wilki są w rewirze, postanowiłem na oślep iść w kierunku uboczy, w której spodziewałem się je zastać, i nie zawiodłem się w mych przypuszczeniach.

Po godzinnym, nader ostrożnym marszu, przy bardzo korzystnym wietrze zobaczyłem, jak wilki zerwały się z legowisk, a że wiatr był od wilków ku mnie, nie mogły się w pierwszym momencie zoryentować, co ich inkomoduje, i skierowały swoje łby w przeciwnym kierunku odemnie. Odległość wynosiła około 120 kroków. Złożyłem się do dwóch w kupie, jak konie, stojących, i strzeliłem, poczem usłyszałem tylko zacharkotanie, jakby psa, kiedy jest ciężko postrzelony, wszystkie jednak rozskoczyły się z wyjątkiem jednego, który jakby chciał się pomścić za zaniepokojenie, obrócił się i zaczął biedz wprost na mnie. Przypuściłem go na jakie 15 kroków i kulą strzeliłem na sztych tak, że wilk upadł mi pod nogi i zaczął w najstraszliwszy sposób skomleć. Jeden ze strażników chciał go dobić, ale że wilk w ostatnich podrygach tarzał się po śniegu, nie kazałem psuć jego skóry śrótem.

Ciekaw, co się stało z tamtymi strzelanymi, pozostawiłem zabitego na miejscu, a podążyłem ze strażnikami na miejsce pierwszego strzału.

Przyszedłszy tam, spostrzegłem, że oba wilki są kulą przeszyte nawskroś, gdyż na obydwa boki farbują.

(C. d. n.).

(„Łowiec").

Gawędy starego myśliwego.

X.

(Ciąg dalszy).

Zima była dość ostra, śniegi duże, polowanie jednak zapowiadało się pomyślnie, bo grubej zwierzyny była obfitość, jak zawsze w gubernii mohylewskiej, a miałem tam kilku doskonałych myśliwych, przyjąłem więc przysłane mi zaproszenie, z tem większą radością, że w lasach tamtejszych, w których polować zamierzano, wynaleziono kilka niedźwiedzi leżących w barłogach. Rozumie się, że niedźwic,

dziom należało się pierwszeństwo. A że każdy z nich leżał w oddzielnym ostępie, jeden od drugiego znacznie oddalonym, dzień był krótki, dostęp do lasu niełatwy z powodu wielkiego śniegu, a i zgromadzenie, oraz rozstawienie naganki, dłuższego wymagało czasu, przeto trzeba było urządzić na owe niedźwiedzie aż trzy oddzielne polowania.

Dwa ostatnie z tych polowań odbyły się pomyślnie i szczęśliwie, opiszę z nich więc tylko pierwsze, bo, jak się okazało, mieliśmy w nim do czynienia nietylko z niedźwiedziem, prawdziwym kolosem, ale i z osobnikiem niezwykle złym i odważnym, który nie uląkł się grożącego mu niebezpieczeństwa, a nieprzyjaciołom swoim mężnie stawiał czoło.

Z pierwszym brzaskiem dziennym cały prawie ostęp, w którym leżał niedźwiedź, otoczony został gęsto rozstawioną naganką, uzbrojoną w pałki, topory, a niektórzy z naganiaczy mieli broń palną. Zadaniem naganki było stać na miejscu i poruszonego niedźwiedzia z otoczenia nie wypuścić. Część wolną zajęli strzelcy, a było nas piętnastu. Leśnikom jednakże i nagance, posiadającym broń palną, nakazano strzelać w powietrze, a do niedźwiedzia tylko w obronie własnej, lub w obronie uczestników naganki.

Po obstawieniu w ten sposób całego ostępu, dwóch miejscowych leśników, którym legowisko było znane, wyprawiono wraz z dwoma ogarami, dla wypędzenia niedźwiedzia z barłogu. Wkrótce też usłyszeliśmy naszczekiwania psów, następnie dwa strzały jeden po drugim, a po chwili jeszcze strzał jeden. Naszczekiwanie psów zaczęło się oddalać, a po upływie jakichś dziesięciu minut rozpoczął się krzyk naganki, kilka w nim strzałów, i krzyk ten, z początku ogromny, milkł następnie, przenosząc się i odtwarzając w ten sam sposób w innych punktach lasu. Było widocznem, że niedźwiedź usiłował przedostać się przez linię naganki. Nareszcie krzyk naganki ustał zupełnie, w różnych stronach lasu zaczęły odzywać się pojedyńcze jakieś nawoływania, po chwili ukazywać się zaczęli biegnący ludzie z naganki, a z nimi przybył i jeden z leśników z wiadomością, że niedźwiedź raniony rzucał się na ludzi z naganki i sporo z nich pokaleczył, że cała naganka rozpierzchła się w popłochu, że wreszcie nie wiadomo, co się stało i z niedźwiedziem i z owymi dwoma leśnikami, którzy wypędzili niedźwiedzia z barłogu i pierwsi do niego strzelali.

Zgromadzili się strzelcy i po krótkiej naradzie postanowiono zrewidować cały ostęp leśny, odszukać przedewszystkiem dwóch leśników i przekonać się jednocześnie, czy wśród silniej pokaleczonych, a potrzebujących pomocy, niema i ludzi z naganki. Rozstawiliśmy się więc w linię, w odległości 50-ciu kroków jeden od drugiego, dla kierowania linią, poustawialiśmy na obu jej końcach leśników, i w tym szyku ruszyliśmy naprzód. Śnieg był głęboki, las gęsty i podszyty, chód był z tego powodu ciężki i męczący, trzeba było utrzymywać się w linii, posuwaliśmy się więc wolno.

Na lewym końcu linii, obok gajowego, zajął miejsce mój ojciec, a ja za nim.

Przeszliśmy w ten sposób przez pewną już przestrzeń tam, minęliśmy większe gąszcze i weszliśmy w las rzadszy, kiedy przed lewym końcem linii i w odległości od nas jakichś stu kroków, podniósł się leżący w śniegu niedźwiedź, postał chwilkę, zwrócony w naszą stronę, spostrzegł leśnika, idącego na końcu linii, i bezzwłocznie rzucił się ku niemu. Dane przez leśnika i na blizką metę dwa strzały, niedźwiedzia nie powaliły, zachwiał się tylko, z silnym pomrukiem podniósł się na tylne łapy, zbliżył się do bezbronnego leśnika, rzucił go na ziemię i szarpać zaczął. Ale napadniętemu spieszyliśmy już z pomocą. Ojciec mój, jako najbliższy, podbiegł pierwszy i celnym strzałem, z odległości kilku kroków, niedźwiedzia ostatecznie powalił.

L. Łasce.

(Dok. nast.).

Odczyt ces. radcy Hubera

dnia 1-go lipca 1907 r.

w sali Gal. Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

(Dokończenie).

Celem urządzenia międzynarodowej wystawy łowieckiej w r. 1910 w Wiedniu, rzucił komitet przygotowywający i główny architekt, c. k. radca budownictwa, p. Aleksander Décsey, plany, które będę miał zaszczyt przedłożyć Panom i objaśnić.

Uprzedzam Panów, że te plany to tylko zarysy, które w szczegółach muszą być wykończone i uzyskać aprobatę centralnego komitetu.

Plany te zatem mogą doznać wszelkich owych zmian, które komitet centralny, w którym także zastępcy austryackiego krajowego komitetu będą zasiadać i wotować, jako użyteczne uzna. (Demonstracya planu wystawy i szkiców). Obecnie przychodzę do najważniejszego punktu mych wywodów, do uczestnictwa komitetów królestw i krajów, reprezentowanych w radzie państwa, w pracach około wystawy i przy niej samej. Komitet przygotowywający wystosował swego czasu prośbę do przewodniczących towarzystw ochrony zwierzyny, by zawiązywały te komitety we właściwych prowincyach. Panowie ci podjęli się tego zadania w sposób jaknajbardziej uprzejmy, za który jakiekolwiek uznanie byłoby za skąpą podzięką, i przysłali komitetowi przygotowywującemu listę osób, które raczyły odpowiedzieć na wystosowane do nich zaproszenie.

Jakkolwiek krajowy komitet kraju koronnego Galicyi jeszcze się nie utworzył, to zaszczytne dla mnie zaproszenie galicyjskiego towarzystwa łowieckiego, bym wygłosił odczyt o wystawie, pozwala mi niewątpliwie wnioskować, że utworzenie galicyjskiego krajowego komitetu nastąpi w czasie jaknajbliższym.

Im wcześniej będą właściwe prace rozpoczęte, tem lepiej wypadnie wystawa galicyjska.

Nie udzielając Szanownym Panom wskazówek co do sposobu uczestnictwa poszczególnych krajów koronnych w międzynarodowej wystawie łowieckiej w Wiedniu w r. 1910, pozwolę sobie przecież nieco o tem pomknąć, abstrahując od tego, że centralny komitet wyda w swoim czasie właściwe przepisy, w których to pracach Szanowni Panowie będą mogli uczestniczyć. Przedewszystkiem, wobec odbywającej się u nas, międzynarodowej wystawy łowieckiej musimy na to baczyć, aby Austrya na tej wystawie, odpowiednio do wysokiego znaczenia swego łowiectwa, była godnie reprezentowana.

Już sama okoliczność, że jesteśmy w tym wypadku niejako gospodarzami wystawy, wkłada na nas ten obowiązek.

Musimy tedy przy urządzeniu i wyposażeniu naszej wystawy dołożyć jaknajwiększego starania, a możemy to osiągnąć tylko wtedy, gdy w myśl hasła naszego Najmiłościwszego Myśliwego „viribus unitis“ będziemy działać. Komitet przygotowywujący wyraża zapatrywanie, że Austrya, porówno z innemi państwami, swą wystawę łowiecką pomieści także w umyślnie na to urządzonym budynku, który chcemy nazwać austryackim domem reprezentacyjnym. Budynek ten umyśliliśmy umieścić w środku naro-

dowego placu. Wystawa przemysłowa i rękodzielnicza poszczególnych, austryackich krajów koronnych, tak samo jak wystawa obcokrajowców, będzie urządzoną w rotundzie, jednak nie wedle poszczególnych krajów, tylko wspólnie.

Dom reprezentacyjny winien być okazałym, lecz, rozumie się, że prowizorycznym budynkiem, którego przeznaczeniem jest pomieścić wystawy łowieckie poszczególnych królestw i krajów tej połowy monarchii, i to wedle poszczególnych krajów. Każdemu krajowi będzie oddaną do dyspozycyi w tym budynku przestrzeń, odpowiadająca jego żądaniom, a suma tych przestrzeni, zwiększona przestrzenią dla reprezentacyi, utworzy austryacki dom reprezentacyjny.

Zanim tedy przystąpi się do wykonania planów tego projektu, muszą poszczególne kraje koronne podać centralnemu komitetowi wymiary żądanych przez się przestrzeni. Opędzenie kosztów tej budowy jest w ten sposób obmyślone, że każdy kraj koronny przyczynia się kwotą odpowiednią do żądanej przestrzeni, podczas gdy centralny komitet opędza utworzenie właściwej przestrzeni reprezentacyjnej z ogólnych kosztów wystawy.

Skoro wymiary żądanych przestrzeni zostaną podane i skoro plany i kosztorysy będą gotowe, zostaną poszczególne kraje koronne zawiadomione, ile za metr kwadratowy przestrzeni mają uiścić, tak, że krajowe komitety będą w możności dostarczyć potrzebnych środków.

Żadnych innych czynszów nie będzie się pobierać, również dostarczy centralny komitet odpowiedniemu celowi oświetlenia zewnętrznego i dostępów, natomiast mają się krajowe komitety postarać o wewnętrzne oświetlenie swych lokalności.

Krajowe komitety mają się starać o dostarczenie przedmiotów na wystawę w swym kraju.

Tu należy w pierwszej linii mieć wzgląd na historyczne przedstawienie polowania właściwego kraju, niemniej ma być uwidoczniony jego stopniowy rozwój, aż do chwili obecnej. Wszystko, co się odnosi do polowania, może być przedmiotem wystawy.

Urządzeniem całej krajowej wystawy zajmuje się krajowy komitet sam, w pracach tych jednak, w miarę wyrażonego życzenia i w miarę możliwości, może go centralny komitet wspierać. Przepisy, w tym celu wydane, zaprowadzą pewną harmonię w zewnętrznej formie wystaw krajowych. Wszystkie przedmioty wystawowe, noszące na sobie cechę sztuki, rzemiosła lub przemysłu, znajdą pomieszczenie częścią w ogólnym pawilonie dla sztuki i sztuki stosowanej, częścią zaś w rotundzie.

Za przedmioty, wystawione przez wystawców, a pomieszczone w lokalnościach domu reprezentacyjnego, przydzielonych krajowemu komitetowi, wolno mu od wystawców pobierać opłaty, by w ten sposób opędzić wydatki ogólnej wystawy krajowej.

Wysokość tych opłat ustanowi komitet wystawowy.

Wydane przez komitet centralny normy statutu organizacyjnego, podają warunki zgłoszenia i dostarczenia przedmiotów wystawowych.

Dostarczenie środków na urządzenie wystawy pozostawia się uznaniu właściwego komitetu, należy jednak wszędzie starać się o subwencyę kraju. Co do tworzenia się samych krajowych komitetów, pozwala sobie komitet przygotowywujący udzielić wskazówek w tym kierunku, by do krajowych komitetów zostali powołani przedstawiciele wszystkich stanów i by tym sposobem zapewnić sobie współdziałanie wszystkich kół przy tem przedsięwzięciu, a równocześnie wzbudzić wszędzie ogólne zajęcie się niem. Im szersze koła zatoczy uczestnictwo w pracach komitetu, tem lepiej wypadnie wystawa, o którą chodzi. Należałoby tedy rozbudzić zajęcie się przedewszystkiem u zastępców władz krajowych, u reprezentacyi kraju i miast, u izb handlowych, u związków rzemieślniczych i przemysłowych, u wybitnych właścicieli większych posiadłości, u właścicieli polowań i u łowieckich urzędników, u stowarzyszeń strzeleckich, turystycznych, u wielkich i małych przemysłowców, uprawiających rzemiosła, u stowarzyszeń artystycznych i u samych artystów, uprawiających sztukę stosowaną etc. W krajach, o różnych narzeczach, należy baczyć, aby narodowy stosunek sił był w łonie komitetu jaknajsłuszniej uwzględniony, a wszystkiego unikać, coby do waśni pobudzać mogło, gdyż w usiłowaniu uwidocznienia przez obmyśloną wystawę etycznej i gospodarczej wartości polowania, muszą wszyscy zwolennicy św. Huberta, bez względu na narodowość i kierunek polityczny, zgodnie postępować.

O zapewnieniu finansowej strony przedsiębiorstwa wystawowego, mogę Szanownym Panom powiedzieć, że:

Wedle budżetu, zestawionego przez komitet przygotowywujący, wypadną koszta wystawy (bez świadczeń państwowych) na wdrożenie jej i na 5-miesięczne jej utrzymanie, na kwotę krągło .	2,000,000 k.
Dochody, przy dokładnem zbadaniu i przy uwzględnieniu średnich wyników, które dały wystawy, urządzone w Wiedniu w ostatnich 9-ciu latach, — dadzą.	1,200,000 „
Wobec czego przedstawia się ewentualny deficyt w kwocie około	800,000 „

Spodziewany ten deficyt powinien być pokryty subwencyą państwa i subwencyą gminy Wiedeń. Są wszelkie widoki otrzymania tej pierwszej, co do drugiej zaś, to ta została już zapewniona pod warunkiem, że państwowa subwencya ma wraz z subwencyą gminy pokryć deficyt.

Aby jednak ubezpieczyć się przed jakiemikolwiekbądź niespodziankami, postanowił komitet przygotowywujący utworzyć fundusz gwarancyjny, który posłuży do pokrycia możliwie powstałej nadwyżki ponad przewidywany deficyt.

Fundusz ten, zbierany drogą składek u znamienitych myśliwych i innych osób interesowanych, przekroczył już kwotę	200,000 k.
i ma być doprowadzony do kwoty	400,000 „

Jakkolwiek żywię przekonanie, że do tego funduszu gwarancyjnego nie trzeba się będzie uciekać, to w każdym razie daje on zapewnienie, że komitet wystawowy nie będzie, w razie niepowodzenia, zmuszony ubiegać się później o pomoc państwową lub też gminną, i abstrahując od tego, że ten fundusz gwarancyjny ma w pierwszym rzędzie służyć na pokrycie kosztów prac przy wystawie aż do tej chwili, w której subwencya państwowa i gminna będzie mogła być podjętą.

Muszę tu jeszcze dodać, że prawie wszystkie ministerstwa objawiły swoje zajęcie dla wystawy nietylko tem, że przyrzekły przedsiębiorstwo wystawowe popierać w każdym kierunku, lecz także tem, że wysłaniem swych delegatów do komitetu wystawowego zamarkowały swój czynny udział przy przedsiębiorstwie.

Już w najbliższym czasie ma się odbyć w Wiedniu zebranie wielkiego, myśliwskiego komitetu, do którego raczą krajowe komitety wysłać swych delegowanych.

Na zebraniu tem zostanie wybrane biuro wystawy, a więc prezydyum i komitet wykonawczy; bezpośrednio potem zostaną wysłane całkiem formalne zaproszenia do państw obcych.

Wówczas rozpocznie bezzwłocznie generalny komisarz wystawy i główny architekt stanowcze prace około wystawy, gdyż czasu jest niewiele i jeżli wystawa ma być gotowa do maja 1910 r. — to trzeba zakasać rękawy.

Kończąc swój odczyt, zapewniam szanowne zgromadzenie, że wedle mego głębokiego przekonania, międzynarodowa wystawa łowiecka w r. 1910 będzie najwspanialszem i najbardziej udatnem dziełem, które Austrya kiedykolwiek widziała. Wobec tego opłaci się dzieło to ze wszystkich sił popierać i iść mu na rękę.

Galicya—ta wymarzona kraina łowów, siedziba myśliwych—we właściwem znaczeniu — którzy gorliwie i z rzadkiem zrozumieniem rzeczy oddają się temu rycerskiemu sportowi — urządzi, śmiem się spodziewać, najznaczniejszy i najbardziej zajmujący dział naszej wystawy.

Przy tej sposobności śmiem do szanownego zgromadzenia skierować jaknajusilniejszą prośbę, by nam nie odmówiło swego przychylnego współdziałania, bez którego udanie się wystawy nie mogłoby się obyć.

Jeżeli zatem wywody moje zdołały bodaj cząść tego natchnienia, które przenika komitet przygotowywający dla tego pięknego dzieła, przenieść na szanowne zgromadzenie, to, czuję się, za skromne starania, podjęte celem wygłoszenia niniejszego wykładu, sowicie wynagrodzony.

Św. Hubertowi cześć!

(„Łowiec“).

Badanie 6,025 sów uszatych.

Baron Geyr v. Schweppennburg ogłosił niedawno w „Wild und Hund“ bardzo interesujące spostrzeżenie po zbadaniu 6,025 wol sów uszatych *(Otus vulgaris)*, ażeby się przekonać, czem one się żywią. W wolach tych znaleziono dające się dokładnie określić resztki 10,180 zwierzątek.

W podziale na większe grupy stwierdzono, że sowy żywiły się następującymi łupami: 40 kretami=0,40% ogółu żywności, 57 susłami = 0,60%, 1,242 właściwemi myszami *(Mus musculus, silvaticus, agrarius et minutus)* = 14,20%, 107 myszami *(Hyp. glareolus)* = 1,10%, 8,307 myszami polnemi *(Arvicola amphibius, agrestis et arvalis)* = 81,60%, 171 ptakami— 1,70%, 47 żabami = 0,50%, a pozatem 1 koszatką *(Myoxus glis)*, 1 chomikiem, 4 zajączkami młodymi i 2 małymi gryzoniami, które były albo młodymi zajączkami, albo królikami.

Małą liczbę ptaszków, tępiących owady, kretów i susłów, stanowiącą razem tylko 1% żywności sów uszatych, można tembardziej pominąć, że ich wartość gospodarczo-rolnicza nie została jeszcze dostatecznie wyjaśnioną.

Nas interesują głównie liczby, podane przy myszach, ptakach i zwierzętach, ważnych dla myślistwa. Myszy znaleziono prawie 10,000 (!!) sztuk, gdyż 9,856, co stanowi 96,90%! Ptaków znaleziono tylko 171 = 1,7%. Ze zwierząt łownych, sowy, w najgorszym razie pożarły sześć sztuk. Wobec tak dobitnego wyniku badań, dalsze objaśnienia są prawie zbyteczne, gdyż liczby same za siebie mówią.

Żeby jednak nie sądzić, że badania wol nie dają dokładnego obrazu o istotnej zawartości odżywczej sów uszatych, można przytoczyć wyniki badań żołądków. Profesor dr. Roerig dokonał mianowicie zbadania 198 żołądków sów uszatych, świeżo ubitych, lub złowionych, a wyniki ogłosił w „Pracach wydziału biologicznego przy departamencie rolnictwa i leśnictwa cesarskiego urzędu zdrowia“.

W żołądkach blizko 200 sów znaleziono 450 zwierzątek złupionych. Śród nich było około 95% myszy (oraz trochę susłów), około 4% ptaków, a pozatem 1 łasica i 1 żaba! Mniej więcej zupełnie tem sam stosunek liczebny, jak przy badaniach wolowych! Resztek zwierząt łownych nie znaleziono wcale przy badaniach żołądków.

Dla zupełnej ścisłości wspomnieć należy, że Naumann zauważył, iż sowa uszata podczas bardzo ostrej zimy rzuciła się na kuropatwę. Przyrodnik opatruje wszakże ten fakt uwagą, że stadko kuropatw, z którego sowa porwała jedną, było i tak skazane na zagładę i zupełnie bezsilne, z powodu grubej warstwy lodu i śniegu, niedającej dostępu do żerowiska.

W każdym razie twierdzić można, że sowy uszate nietylko nie są szkodliwe, lecz, owszem, pożyteczne, ponieważ tępią myszy. Wzamian zaś za parę zajączków, sowa także oddała przysługę, porywając łasicę.

K—z.

Z literatury myśliwskiej.

„Psy północy“.

Taki jest tytuł książki, napisanej przez d-ra Egertona R. Younga, który objeżdżał długie lata, jako delegat rządowy, wszystkie północno-amerykańskie plemiona indyjskie, przebywające na północy jeziora Winnipeg. Przebywał setki mil w Kanoe, gdzie lato jest bardzo krótkie, a zima trwa 8 miesięcy, podczas których należało podróżować w saniach, ciągnionych przez psy.

O takiej podróży w saniach pisali już dużo ci, którzy odbywali wyprawy do bieguna północnego; prawie zawsze też wyrażali się z całem uznaniem o roztropności i wytrwałości tych psów, ale po większej części pisano o tem pobieżnie. Natomiast dr. Young poświęcił psom większą część swych opisów, dając nader zajmujące i pouczające studyum o charakterze psów w stronach podbiegunowych.

Podczas rozpaczliwych zim w tych stronach, byłaby niemożliwa wszelka zmiana miejscowości bez pomocy psów, a przeto zajmują one w życiu gospodarczem krajowców bardzo wybitne miejsce. Dr. Young zachwyca się szczególnie usługami, które psy mu oddały. Uważa daleką Północ za najlepsze siedlisko dla większych ras psów. Mogą one pracować podczas długich zim i zarabiają rzetelnie na swe utrzymanie. Pośród „blizzards“, mroźnych burz strefy północnej, psy te są jedynemi zwierzętami, które towarzyszą śmiało człowiekowi, znosząc klimat straszny.

Wbrew twierdzeniom wielu podróżników podbiegunowych, dr. Young nie daje pierwszeństwa psom Eskimosów, czyli Husky. A lubo nie przeczy, że te są niezwykłemi stworzeniami na punkcie roztropności, zastanowienia i wytrwałości, to jednak dr. Young twierdzi, że niepodobna byłoby nauczyć psy eskimoskie — uczciwości. Psy te bowiem kradną od pierwszej młodości, o czem w książce jest sporo opowiadań; podano wypadki prawie nie do uwierzenia, niezwykłe, oraz często zabawne. Głód jest, naturalnie, głównym bodźcem przywłaszczania sobie cudzych rzeczy.

Tak np. opowiada dr. Young o pewnym psie, który stale pożerał końce długich batów, podczas gdy inny połykał „mokkasiny“ (obuwie wyrabiane ze skóry suszonej przy ogniu); i znowu opowiada, jak psy często wygryzały dziury we drzwiach, za któremi były zamknięte, i wydostawszy się, dusiły świnie i owce, mimo że te także były zamknięte. Ponieważ dr. Young nie mógł w żaden sposób odzwyczaić

psów od tych kradzieży, przeto wyrzekł się ich zupełnie i zastąpił je Bernardynami, lub Newfoundlandczykami, albo też produktem skrzyżowanym tych obu, i był bardzo zadowolony z ich roboty.

Książka zawiera znaczną liczbę opisów i wizerunków tych psów. Idą kolejno „Jack", olbrzymi bernardyn, „Cuffy", piękny newfoundlandczyk, „Rover I", psi doktór, „Muff" najlepsza suka, „Cezar", klown trupy i t. d. O każdym psie są niezwykłe opowieści. Podano też mnóstwo faktów, wykazujących, że jedynie dzięki roztropności, odwadze i sile psów ludzie zostali uratowani, znalazłszy się w bardzo niebezpiecznych warunkach pod biegunem północnym. Książkę zdobią liczne ilustracye. (Podług „Nederlandsch Sport", pisma holenderskiego).

O.

Słynne łowczynie.

Pomimo że mało która z kobiet uprawia myślistwo, wiele z nich wyróżniło się na tem polu, zajmując wybitne miejsce w dziejach łowiectwa. Działo się tak zwłaszcza za dawnych czasów, począwszy od mitologicznej Dyany, do licznych królowych, które historya zna jako słynne łowczynie. W nader licznym szeregu tych ostatnich, spotykamy także nazwiska polskie, o których damy wzmianki należne w zakończeniu.

Za czasów starożytnych były dziewice, oddane całe czci Dyany, w której świątyniach przebywały. Od czasu do czasu uprawiały praktycznie polowanie i przez całe życie już za mąż nie wychodziły. Dziewice te miały się potem zamienić w boginie „nieśmiertelne". Mitologia wspomina także o córkach centaurów, które były arcymistrzyniami w sztuce łowieckiej.

W starożytnym Rzymie, kiedy kobiety były za bardzo zniewieściałe, nie spotykamy wzmianek o kobietach-myśliwych. Częstszem zjawiskiem były one śród walecznych Greków starożytnych. Gdy potęga Rzymu została zniweczona przez falę wędrówki narodów, a zmurszałe rody zostały odświeżone przez napływ krwi silniejszej, — zaczęły się mnożyć śród kobiet jednostki, rwące się do łowów. Księżne z pałaców i szlachcianki z komnat wspaniałych ruszyły w pole, trzymając zakapturzone sokoły w dłoni, ubranej w rękawicę.

Znaną więc jest z wypraw myśliwskich Hermelinda, królowa Longobardów, która towarzyszyła swemu mężowi Kunibertowi na polowaniach. Dalej słynie Judyta, żona Ludwika Pobożnego, uczestniczka wielkich łowów w lasach Ingelheimskich.

Zarówno Marya, jak Katarzyna de Medicis, słynęły na francuskim dworze, jako najśmielsze amazonki na polowaniach *par force*.

Królowa Marya Węgierska, księżna Zofia heska i Anna Meklemburska były sławnemi łowczyniami przy pomocy sokołów. Również słynęły z tego obie żony cesarza Maksymiliana I, Marya Burgundzka i Blanka Sforza, oraz córka tej pierwszej, Małgorzata Austryacka, późniejsza władczyni Niderlandów.

Dorota, żona wielkiego Kurfirstra, doskonale władała bronią. Margrabina z Bayreuth w listach do brata, Fryderyka Wielkiego, dała wiele ciekawych opisów polowań.

W Styryi została zamianowaną w r. 1660 dożywotnią łowczynią Marya Barbara v. Tannhausen. W Anglii, za czasów królowej Elżbiety, urząd nadłowczyni dworu piastowała lady Canterbury. Mniszka angielska, uczona Julianna Barnes, pisała dzieła myśliwskie.

Co się tyczy stosunków w dawnej Polsce, to, według profesora Zakrzewskiego, pierwszym typem kobiecym łowczyni jest siostra Mieszka I, wydana za węgierskiego księcia Gejzę, którą Węgrzy zwali Białą księżną. Występuje ona zawsze w pełnym biegu na koniu, z oszczepem w ręku. Dalej znane są z dzielności wszechstronnej, oraz ze zdolności myśliwskich: żona Konrada Mazowieckiego, Agafia, księżniczka ruska; typem rycerskim i łowieckim jest też reprezentantka szlachty z wieku XVI-go, Ewa Niewiarowska.

Należy wreszcie przytoczyć powiedzenie Górnickiego, że „kobiet-myśliwych jest w Polsee tak wiele, iż to nie zwraca na siebie niczyjej uwagi".

J. O.

O lasach polskich i ptactwie.

Na zjeździe leśników polskich, odbytym w z. m. w Krakowie, referent z Królestwa Polskiego, p. Miklaszewski, wygłosił referat: „Ogólny rzut oka na rozwój leśnictwa w Królestwie Polskiem w XIX w.".

Referent, w swym zajmującym wywodzie, przedstawił rozwój i obecny stan leśnictwa w Królestwie Polskiem, objaśniając swoje wywody cyframi.

Ubolewając nad zmniejszeniem się przestrzeni lasowej, prelegent zaznaczył że Królestwo Polskie, pod względem zalesienia, w krótkim czasie stanie się podobne do krajów, zupełnie ogołoconych z lasów, jeżeli gospodarka leśna będzie w dalszym ciągu prowadzona, jak dotąd; już dzisiaj bowiem mamy stosunkowo mniej lasów, niż cała Europa środkowa, w porównaniu zaś z Galicyą, której obszar leśny w r. 1900 wynosił 2,013,567 hektarów, chociaż mamy bezwzględnie większy obszar lasów, stosunkowo jednak Galicya jest bogatszą w lasy, gdyż stopień zalesienia Królestwa wynosi 20,57%, Galicyi zaś w wyżej wspomnianym roku 25,65%.

Następny referat: „Rozwój polskiego leśnictwa w XIX w. w W. Ks. Poznańskiem" wygłosił p. Filip Skoraczewski z Bagatelki.

Trzeci referat: „Pogląd na rozwój polskiego leśnictwa w XIX w. w Galicyi" wygłosił p. Ignacy Szczerbowski.

Duże zainteresowanie wywołał referat p. Józefa Stankiewicza, leśnika z Warszawy, który uzasadnił konieczność założenia w Królestwie Polskiem wyższej szkoły leśnej polskiej.

W drugim dniu obrad p. Cyryl Kochanowski, radca leśnictwa i wice-prezes Towarzystwa leśnego ze Lwowa, odczytał referat: „Ochrona ptaków pożytecznych", ze względu na lasy i środki, przyczyniające się do rozmnożenia ptactwa, a tem samem do ochrony drzewostanów. Prelegent przedstawił obecnym w obszernym wywodzie znaczenie ptaków dla gospodarstwa, jako głównych tępicieli szkodników, owadów. Tem samem ochrona ptaków i ich rozmnażanie należą do najważniejszych zagadnień gospodarstwa leśnego.

P. Józef Rivoli z Poznania, obecny przewodniczący zjazdu, wygłosił referat o „sprawie ujednostajnienia polskiej terminologii leśniczej we wszystkich trzech zaborach Polski". Sprawa ta, nader dla polskiego leśnictwa żywotna, wywołała ogólne zainteresowanie.

W sprawie ochrony ptactwa powzięto następujące uchwały: „Walne zgromadzenie członków galicyjskiego Towarzystwa leśnego w Krakowie 1907 r. połączone z ogólnym zjazdem leśników polskich, uznając wielką ważność ptactwa pożytecznego dla gospodarstwa ogólnego, a leśnego w szczególności,

zaleca: 1) swoim członkom, ażeby przez odpowiednią akcyę starali się o rozszerzanie wiadomości o potrzebie i sposobach ochrony ptactwa pożytecznego i poleca wydziałowi galicyjskiego Towarzystwa leśnego, 2) ażeby poczynił odpowiednie kroki u władz rządowych i autonomicznych, celem rozszerzenia tych wiadomości wśród ogółu mieszkańców, jako też 3) by u rządu poruszył sprawę stworzenia podobnych ustaw we wszystkich krajach monarchii, jako też międzynarodowego prawa o ochronie ptactwa pożytecznego".

Z żałobnej karty.

Ś. p. Bolesław Zwolanowski, zarządzający leśnictwem Żerocin, dóbr Międzyrzeckich, należących do J. E. Andrzeja hr. Potockiego, zginął w d. 31 lipca r. b. śmiercią zdradziecką, jako ofiara pełnienia swych obowiązków. Ś. p. Bolesław urodził się w 1882 r. pod Częstochową, a ukończywszy szkołę Leśną we Lwowie, objął najprzód posadę adjunkta w dobrach Międzyrzeckich, a następnie mianowany został zarządzającym leśnictwem Żerocin, w tychże



dobrach położonem. Owego fatalnego wieczora d. 31 lipca przejeżdżał samotnie konno przez Czeremchowe bagno w Zapołodziu, gdy ukryty kłusownik-zbrodzień, sądem kilkakrotnie za kradzież leśną i kłusownictwo karany, strzelił doń loftkami, raniąc go śmiertelnie. Cztery loftki odbiły się od portmonetki i zawartych w niej pieniędzy, a ośm uderzyło w dolne części brzucha, przerywając arterye i odrywając kości, gdyż strzał, jak wszyscy twierdzą jednozgodnie, był dany na parę zaledwie kroków. Na strzał przybiegł gajowy, z którym jeszcze nieboszczyk kilka chwil rozmawiał, zasyłając ostatnie pożegnanie ukochanej swej matce, która miała powrócić tegoż samego wieczora z podróży po to, aby zastać stygnące już zwłoki najdroższego swego syna.

Ś. p. Zwolanowski pozostawił po sobie żal szczery nietylko pomiędzy swymi kolegami z administracyi i podwładnymi, ale także w całej okolicy, wśród chłopów-prostaczków, między którymi siał zdrowe ziarno.

Nieszczęśliwej matce ślemy słowa pociechy. Syn Jej zginął, jak bohater, w obronie cudzej własności, nad którą pieczę jemu powierzono. Takich ludzi kraj nasz potrzebuje więcej w chwilach ogólnego spaczenia pojęć i anarchii, w jakiej wrogowie pogrążyli go od lat kilku. Ś. p. Bolesław śmiercią swą dowiódł, że mamy jeszcze takich ludzi, którzy poczucie obowiązku stawiają na pierwszym planie.

Cześć Jego pamięci!

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady odbyło się w d. 20 sierpnia pod przewodnictwem p. Mikołaja Blumentala.

1. Towarzystwo popierania zalet polowych psów myśliwskich w Petersburgu zawiadamia Radę, że Zarząd Towarzystwa postanowił wyznaczyć na konkurs wyżłów, mający się odbyć pod Warszawą w d. 7 września, — żeton złoty do uznania sędziów. Żeton ten ma być nadesłany w jaknajkrótszym czasie.

2. Doszło do wiadomości Rady, że jeden z mieszkańców gmimy Kamocin oddaje się stale polowaniu w czasie zabronionym, na co wskazano niezbędnych świadków. Rada postanowiła zawiadomić o tem p. naczelnika powiatu z prośbą o przeprowadzenie śledztwa i ewentualnie pociągnięcie winnego do odpowiedzialności.

3. P. naczelnik pow. sieradzkiego zawiadamia Radę, że straż ziemska dokonała niespodzianej rewizyi u kilku mieszkańców gm. Zadzim, podejrzanych o kłusownictwo i nieprawe przechowywanie broni, której wszelako nie znaleziono.

Próby polowe wyżłów.

W d. 7 b. m. odbędą się próby polowe wyżłów, urządzane corocznie przez nasz Oddział Cesarskiego Tow. praw. myśl. Poniżej drukujemy instrukcyę dla sędziów konkursowych. Instrukcya ta da możność właścicielom psów do zoryentowania się: czego od jego psa wymagać będą sędziowie i czy kandydat odpowiada wymaganym warunkom.

Dotychczas zapisano cztery psy do konkursu, a zapowiedziano jeszcze 6 zapisów.

Zapisy kończą się w przeddzień konkursu, należy przeto pośpieszyć się z ich zadeklarowaniem.

Próby odbędą się na polach wsi Służewiec, pod Warszawą. Dojazd kolejką grójecką do st. Pyry. Wyjazd z Warszawy kolejką, odchodzącą o godz. 6 m. 30 rano.

W każdym razie najlepiej poinformować się o te szczegóły w przeddzień wyjazdu w Kancelaryi Towarzystwa (Nowy-Świat Nr. 35).

Wykazy myśliwskie.

Baron Grotthuss ogłosił w myśliwskiem piśmie nadbałtyckiem zestawienie rozkładów w 27 majątkach kurlandzkich za czas od d. 1 marca 1906 r. do d. 1 marca r. b. Zestawienie to daje dość dokładne pojęcie o liczbie różnych gatunków zwierzyny w Kurlandyi. Ubito zatem: zwierzyny użytecznej: 3 łosie, 283 kozły, 154 sarn-kóz, 2,941 szarych i białych zajęcy, 30 głuszców, 370 cietrzewi, 214 jarząbków, 4,083 kuropatw, 1,002 bażanty, 186 słonek, 30 bekasów, 846 kaczek, 1 łabędzia, 4 dzikie gęsi. Z drapieżników: wilki zauważono tylko w jednym majątku, jako przechodnie, 381 lisów, 38 kun, 110 tchórzy, 31 łasic, 24 sokołów wędrownych, 24 drzemlików, 241 jastrzębi-kuropatwiarzy, 320 krogulców, 150 kań

61 kruków, 2,512 wron, 428 srok, 276 dębosieków, 156 sów, 49 myszołowów, 2 orły-bieliki, 12 orłów krzykliwych, v. plamistych, 2 kraski, 28 borsuków, 6 wyder, 346 wiewiórek, 258 kotów, 62 psy. Dotąd przypuszczano, że w Kurlandyi jest dużo łosiów i wilków. Rozkład powyższy jednak tego nie potwierdza.

W Y K A Z

ubitej i łapanej zwierzyny w dobrach Kośniewickich (gub. warszawska) p. Kronstantego Rembielińskiego od d. 1 lipca 1900 r. do d. 30 czerwca 1907 r.

ROK	Sarny	Zające	Króliki	Bażanty	Kuropatwy	Kaczki	Lisy	Borsuki	Kuny	Tchórze	Łasice	Wiewiórki	Psy	Koty	Jastrzębie	Czaple	Wrony, Sójki, Sroki	Rezem
1900/1	15	916	2	236	304	—	16	—	2	44	48	53	176	111	133	5	518	2579
1901/2	2	704	8	262	103	—	14	—	3	29	40	12	121	53	120	8	534	2121
1902/3	15	764	27	327	1338	—	26	—	1	31	46	10	136	71	172	3	600	3026
1903/4	13	953	59	340	173	—	22	1	—	54	76	21	180	106	159	—	749	2895
1904/5	3	683	46	473	737	—	31	1	5	40	97	—	218	125	131	1	656	3200
1905/6	4	1117	11	140	422	—	8	—	3	32	62	—	183	117	130	1	604	2834
1906/7	2	920	1021	279	453	11	24	—	2	20	57	120	249	116	106	2	818	4119
Razem	54	6037	1157	2097	3530	11	139	2	16	250	426	216	1280	898	951	20	4539	24424

Strzałowe zapłacono rb. 2,880 kop. 53. Przestrzeń około 8,000 mórg.

Ostrowy, 18 sierpnia 1907 r.

Gustaw Buseck-Busecki, Nadleśny.

INSTRUKCYA

dla pp. Sędziów konkursu wyżłów (field-trial'u).

1. Wydział hodowli psów rasowych przy Warszawskim Oddziale Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa wybiera *pięciu* sędziów i *dwóch* zastępców. Zarówno sędziowie, jak i zastępcy koniecznie muszą być wybierani z łona członków Wydziału, lub Członków Towarzystwa.

2. Sędziowie i zastępcy obowiązani są stawić się w dniu konkursu na miejsce, gdzie się próby odbywać będą. W razie niemożności stawienia się, obowiązkiem ich jest zawiadomić sekretarza Wydziału, jak można najwcześniej.

3. Sędziowie wybierają z pomiędzy siebie przewodniczącego przez tajne balotowanie kartkami w wilię konkursu i w tym celu zbierają się w lokalu Towarzystwa (Nowy Świat 35) o godzinie 8-ej wieczorem.

4. W razie niestawienia się którego z sędziów w dzień konkursu, miejsce jego zajmie jeden z zastępców, wybrany przez losowanie.

5. W wypadku, gdyby do konkursu stanęła parzysta liczba sędziów, to w razie zrównoważenia się głosów przy głosowaniu — decyduje przewodniczący.

6. Konkurs prowadzi przewodniczący, sędziowie zaś komnnikują mu swoje uwagi, do których winien się zastosować, o ile większośc sędziów tego wymaga

7. Gremium sędziów ma prawo wykluczyć z udziału w konkursie tego z prowadzących psy, któryby się nie chciał zgodzić na ich żądania.

8. Porządek próbowania psów ustanawia się przez losowanie. Psy, spóźniające się, będą próbowane na końcu.

9. Każdy z produkujących psa, winien przedstawić kwit z opłaconej składki wpisowej. Należność można też uiścić na ręce przewodniczącego Komitetu sędziów lub sekretarza Wydziału. W każdym razie psy, za które nie wniesiono składki wpisowej, nie mogą być próbowane.

10. Przed próbowaniem gremium sędziów, wraz z osobami, przez się zaproszonemi, kwalifikuje psy na *rasowe* i *półkrwi*, i stosownie do tego, zalicza je do jednej z trzech klas. Sędziom przysługuje prawo wykluczenia z konkursu psów, grzeszących brakiem rasy. Wpisowe w takim razie zwraca się właścicielowi psa.

11. Sędziowie, przy próbowaniu psa, zwracać powinni uwagę na następujące zalety psa:

a) wiatr
b) stójka
c) tresura
d) chody
e) sposób szukania
f) sposób prowadzenia
g) aport
h) sekundowanie
i) wytrzymałość.

Uwaga. *Wiatr* powinien być górny i pewny. *Stójka* — musi być twarda, ale nie martwa. *Tresurą* — nazywamy bezwzględne posłuszeństwo na rozkazy prowadzącego, wydawane czy to świstkiem, czy ruchami, czy głosem.

Chody — powinny być (szczególnie u psów angielskich) lekkie i bystre. *Sposób szukania* powinien uwidoczniać pewną planowość. Pies nie powinien szukać bezmyślnie, lecz prawidłowo okładać lub zataczać wielkie kręgi. *Sposób prowadzenia* powinien zdradzać w psie stosowanie się do woli pana. Pies nie powinien za ciągnącymi ptakami pędzić, lecz, na sygnał, dany przez pana, zatrzymać się.

Aport — powinien być szybki i bez towarzyszącego mu memłania. Przyaportowaną zwierzynę pies powinien oddać natychmiast panu, gdy ten mu wyda rozkaz. Pożądanym jest aport na rozkaz. *Sekundowanie*, czyli próbowanie psów parami, powinno wykazać, że pies się nie gorączkuje, lecz, stosownie do ruchów swego towarzysza, zachowuje się ostrożnie, lub poluje na swoją rękę, nie przeszkadzając tamtemu. *Wytrzymałość* psa jest trudną do ocenienia w konkursie, który dla pojedyńczych osobników nie trwa zwykle dłużej, jak godzinę, lub półtorej.

12. Dla otrzymania I-ych nagród we wszystkich trzech klasach pies powinien odpowiadać warunkom, zawartym w powyższych uwagach, a nadto powinien aportować zwierzynę, i to tylko *aportować na rozkaz*. Pies, rzucający się po strzale, bezwarunkowo I-ej nagrody otrzymać nie może. Pożądaną jest rzeczą, aby pies na świstek odchodził od stójki.

13. Dla otrzymania pozostałych nagród (II-ich i III-cich) aportowanie nie jest koniecznie wymaganem.

14. Pies, który goni po strzale uciekające ptaki, lub rzuca się za pomykającym zającem, bez dalszej próby z konkursu wykluczonym zostaje. Również dyskwalifikuje się psy, robiące często stójkę do pustego miejsca.

15. Przyznawanie nagród odbywa się przez głosowanie, a mianowicie każdy z sędziów kwalifikuje psa do takiej nagrody, i stosownie do ilości głosów, pies zostaje nagrodzony.

16. Podczas narady sędziów, nikt obcy nie powinien znajdować się w ich gronie, chyba że zostanie przez nich zaproszony.

17. Protokół ekspertyzy powinien być sporządzony tegoż samego dnia. Należy w nim wymienić wszystkie psy, jakie brały udział w konkursie, a przy psach nienagrodzonych wyszczególnić, jakie błędy popełniły.

18. Rezultat ekspertyzy powinien być ogłoszony w jaknajkrótszym czasie w pismach codziennych.

19. Od wyroku sędziów niema apelacyi. Każdy jednak z właścicieli psów ma prawo żądać wyjaśnienia, dla jakich powodów jego pies nie uzyskał nagrody, lub uzyskał niższą od spodziewanej.

Drobiazgi myśliwskie.

Epizootia wśród kuropatw. Mnóstwo kuropatw pada obecnie od jakiejś epizootyi. Sporą ilość martwych kuropatw znaleźć można na polach i drogach. Podobno przyczyną epizootyi ma być obecne mokre i zimne lato. Wogóle tegoroczne polowanie na kuropatwy zapowiada się licho.

Jubileusz nadleśnego. W d. 24 sierpnia w leśnictwie hr. Tarnowskich nadleśny p. J. Piątkowski obchodził 50-ciolecie pracy. Pracodawcy jubilata, Juliuszostwo hr. Tarnowscy, wręczyli mu upominek i z całym personelem administracyi składali życzenia, a następnie podejmowali ucztą.

Ptasi bandyta. W jednem z mieszkań w Warszawie przy ul. Kruczej Nr. 5 przyłapano w ub. tygodniu szczególnego rodzaju bandytę. Był nim mianowicie wielki jastrząb, który, polując na gołębie, dojrzał nagle w oknie klatkę ze szczygłem. Żądny łupu drapieżnik rzucił się na klatkę, wpijając w pręty ostre swe pazury, tak, iż zdawało się, że chce dziobem przegryźć żelazne wiązania klatki. W zacietrzewieniu swem, jastrząb zapomniał się tak dalece, że, przechodząca w tej właśnie chwili służąca, nakryła ptaka jakąś płachtą i w ten sposób drapieżnik stracił wolność.

Szczątki mamuta. We wsi Czernichowcach, na Podolu, około Zbaraża, w debrze, utworzonej przez spad wody, znaleziono szczątki mamuta. Najprzód znaleziono jeden kieł, sterczący w świeżo przez wodę oberwanej ścianie debry, który po kawałku rozebrali chłopi z Czernichowiec i Starego Zbaraża. Później p. Kwiatkowska właścicielka części Czernichowiec, kazała kopać w tem miejscu, poczem wydobyto część szczęki i trzy zęby trzonowe, oraz gruby koniec trzeciego kła. Wreszcie p. Bolesław Karszniewicz następnego dnia wykopał pozostałą część owego kła, który ma około 2 metrów długości, a 15 ctm. średnicy, jedno żebro, szczękę i inne części czaszki. Prawdopodobnie muszą być w tem miejscu i dalsze części kośćca mamutowego.

Polowanie z chartami. Niezadługo zacznie się w niektórych krajach pora polowań z chartami, łączących jednocześnie łowy i sport konny. W czasach dzisiejszych polowania z chartami stały się znacznie rzadszemi w porównaniu z latami ubiegłemi. Stało się to głównie wskutek zmniejszenia obszarów dworskich, co z jednej strony uszczupliło teren biegów dla chartów, z drugiej zaś wpływało ujemnie na zwierzostan, gdyż stwierdzono, że zając, który uszedł pościgu chartów, kończy życie wskutek zapalenia narządów oddechowych, wywołanego przeforsowaniem płuc. Zostało jednak sporo jeszcze obszarów, połączonych w większych kompleksach, i na nich właśnie są urządzane polowania z chartami. Z odmian chartów, najbardziej znanych, są: długowłose rosyjskie, błędnie nazywane syberyjskiemi, polskie krótkowłose, i angielskie krótkowłose. Charty polskie odznaczają się silną, krępą budową, wysokim wzrostem i pojętnością, a przytem były nader „chwytne", t. zn. potrafiły brać wilka lub lisa w pojedynkę. Obecnie jest ich mało, gdyż mniejsze obszary wymagają i mniejszych chartów, jako mogących zwrotniej się ruszać na krótkich dystansach. Stąd też chowają obecnie myśliwi po większej części charty angielskie, drobniejsze, jednak szybkie i wytrzymałe. Kto chce używać charty na jesieni, ten już teraz powinien zacząć je odpowiednio żywić, mianowicie li-tylko nóżkami baraniemi i osypką owsianą, pokarm ten bowiem odżywia charty znakomicie, i jednocześnie zapobiega tyciu.

Niedźwiedzie-Baranki. W mieście Gera (w Niemczech) gościły zimą „trupa" białych niedźwiedzi wytresowanych znakomicie przez specyalistę, p. W. Hagenbecka. Niedźwiedzie wykonywały rozmaite sztuki pod batutą bardzo łagodnie obchodzącego się z nimi pogromcy i przywiązane były doń, jak nie przymierzając, pieski pokojowe. To też pan Hagenbeck faworytów swoich wyprowadzał od czasu do czasu (gdy pogoda sprzyjała) na przechadzkę, do ogrodu, okalającego teatr miejski. Ogród przecina szeroki kanał. Niedźwiedzie schodziły na lód całą gromadą i używały — kąpieli w specyalnie dla nich wyłamanych przeręblach. Potem tarzały się rozkosznie w śniegu i na głos p. Hagenbecka, jak stado baranków, wdrapywały się znów na schody i mrucząc, wracały napowrót do stałej kwatery swojej. Przechodnie omijali jednak zdaleka miejsce, gdzie się odbywała ona „majówka niedźwiedzia", a policya, rozstawiona w pewnej odległości, ostrzegała, że na kanale ogrodowym p. Hagenbeck pasie właśnie „baranki" swoje! Tylko fotografowie ryzykowali zbliżać się, aby fotografować ze wszech stron dzikie bestye, trzymane dosłownie—na swobodzie.

Pies milionerki. Pisma zagraniczne opowiadają następującą anegdotę ze stosunków amerykańskich: Krewna milionera Astora, w dojrzałych już latach będąca, miss Józefina Wandel, posiada na piątej ulicy Nowego-Jorku plac niezabudowany, za który ofiarowano jej cenę 615,000 dolarów. Miss Wandel odrzuciła ofertę, a to z powodu, że na tym placu bawi się obecnie jej ulubiony piesek „Trixie", który w razie sprzedaży placu zostałby pozbawiony ruchu potrzebnego mu dla zdrowia.

Trust prochowy. Z Waszyngtonu donoszą, że fabrykańci prochu, nienależący do trustu, przesłali rządowi memoryał, w którym oświadczają, że dalsze eksplozye na okrętach wojennych są wielce prawdopodobne, ponieważ trust dostarcza rządowi bardzo lichych prochów małodymnych. Wdrożono śledztwo.

Pudel kanclerza niemieckiego. Psy Bismarka znane były w całym świecie. Pudel obecnego kanclerza

niemieckiego również zaczyna zyskiwać sobie sławę, dzięki uprzejmości prasy francuskiej. W willi, gdzie mieszka kanclerz, nad morzem, pudel jest prawdziwym tyranem swego pana i wszystkich domowników. Zresztą „Murzynek" jest podarkiem samego Wilhelma II, jakże tedy nie ulegać pieskowi. To też „Murzynek" stale objawia swe niezadowolenie głośnem szczekaniem, gdy pani domu w jego obecności gra na fortepianie, gdy pan śpiewa, lub prowadzi głośniejszą rozmowę z gościem. Nawet cesarz musi umilknąć i przerwać dysputę, chcąc uspokoić czworonożnego tyrana.

Chore pióra strusie. W ekonomicznem życiu kolonii Przylądkowej handel piórami strusiemi niemałą odgrywa rolę; reprezentują on ważny artykuł wywozu, czego dowodem, że w r. 1904 eksportowano ich 470,381 funt. angielskich, za 1,058.988 funtów szt. Pióra, których dostarczają strusie oswojone, są jakoby krótsze, słabsze i nie tak miękkie, jak ptaków, żyjących na swobodzie. Dopatrywano się w tym objawie skutków niewoli, wszelako słusznem może jest zapatrywanie, że wynika to ze zbyt częstego skubania ptaków. Wogóle jednak wady te nie dawały powodu do poważniejszych obaw. W ostatnich latach dopiero hodowcy strusiów w Afryce południowej zostali silnie zaniepokojeni, albowiem objawia się coraz częściej osobliwa wada w piórach, obniżająca znacznie ich wartość. Jeśli weźmiemy takie chore pióra do ręki, zobaczymy, jak prof. Duerden z Grahamstown (kolonia Przylądkowa) w „Nature", odrazu liczne, niekiedy zupełnie symetryczne pasy poprzeczne, przerywające łączność pióra; przy dokładniejszem zaś obejrzeniu przekonamy się, że w tych miejscach rozwój odnośnych gałęzi jest powstrzymany, że skarłowaciały, że niekiedy nawet nie nastąpiło zróżniczkowanie gałęzi na pojedyncze promienie. Choroba ta występuje w bardzo różnych rozmiarach, ulega wpływowi pory roku, zmienia się, stosownie do miejscowości. W kołach fachowców nazywana jest „barring", czyli tworzenie się pasów poprzecznych; można ją ukryć przez odpwiednie „pokrycie", t. zw. „dressing", pióra, nabywcy wszakże uważają taki towar za gorszy i płacą za niego 20 do 50% mniej. Przyczynę tej choroby upatrywać należy w niedostatecznem odżywianiu pióra na niskim stopniu jego rozwoju. Doświadczenie nauczyło farmerów, że im lepiej ptak jest odżywiany w epoce opierzania się, tem mniej wadliwe są jego pióra. Dostarczenie dobrego, posilnego pożywienia nie jest wszakże zadaniem łatwem, wobec suszy i upałów, jakie w Afryce południowej panują. Skargi na tę samą chorobę piór strusich nadchodzą i ze Stanów Zjednoczonych, a najwięcej z Florydy i Kalifornii, gdzie takie bezkształtne pióra zdarzają się nawet u dobrze odżywianych ptaków. Tutaj powodują tę bezkształtność różne owady, jak mucha strusia i mól strusi.

* *

Rozum psów. — Więc pan twierdzisz, że psy mają więcej rozumu, aniżeli ich panowie?

— Naturalnie, chociaż, z drugiej strony, to się bardzo rzadko zdarza. Ale ja właśnie mam takiego psa.

* * *

Nowy ptak. Kawaler. — A słyszała pani tę głośną anegdotę o Kolumbie?

Panna. — Kolumb... Kolumb... Aha! to już wiem, to ten ptak, co takie ładne jaja znosi!..

* * *

Skorupa... lwa. Angielski mówca w zapale: „Lew brytański — czy to wędruje przez pustynie Hindostanu, czy przedziera się przez puszcze Kanady, nie schowa nigdy rogów, nie cofnie się nigdy do skorupy!..".

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. *(C. d.)*.

Pies.

415. Gdzie pana kochają, tam i jego pieska głaszczą.
416. Pan i chłop, to pies i kot.
417. U dobrego pana i psu dobrze.
418. Jak się panna zestarzeje, to i pies na nią brzechnie.
419. Ma paszczękę, żeby go sto psów nie przeszczekało.
420. Im tłuściejsza pchła, tym chudszy pies.
421. Świnie w piecu ryją, a psi statki myją (biedne gospodarstwo).
422. Psie pieniądze.
423. Trzy rzeczy żadnego nie przynoszą pożytku: cudze pieniądze liczyć, cudzego psa karmić i cudzą żonę bałamucić.
424. Za tanie pieniądze psy mięso jedzą.
425. Pijany w błocie leży, a psy mu gęby pilnują.
426. Pilnuje, jak pies podwórka.
427. Nie nauczy się pies pływać, póki mu się wody w uszy nie naleje.
428. Przy pochlebcy zjadł pies serek.
429. Podobny, jak pies do wiązki siana.
430. Na swojem podwórzu i pies pewniejszy.

(C. d. n.).

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** Św. Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.